Rok III. Warszawa-Kraków, dnia 24. listopada 1911. № 49

PRZEGLĄD KRYTYKI ARTYSTYCZNEJ I LITERACKIEJ

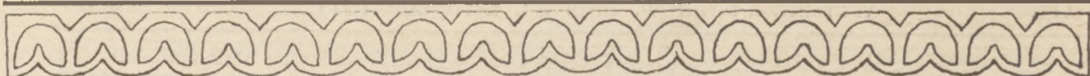
DWUTYGODNIK

Wychodzi w odstępach czasu 20-dniowych pod kierownictwem
Józefa z Rozprzy Krobickiego.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, MARSZAŁKOWSKA 125.

PRENUMERATĘ w cenie 1 rb. kwartalnie przyjmują wszystkie księgarnie. Artyści, literaci i wogóle pracownicy na polu oświatowem—płacą połowę. Cena pojedynczego numeru: 20 kop.
OGŁOSZENIA przyjmuje się z wyłączeniem pośrednictwa biur ogłoszeniowych i agentów.

Treść numeru:





JÓZEF KROBICKI.

Z powodu „Cyganerji“ Nowaczyńskiego.

Odmienne warunki gleby i klimatu — odmienny wydają plon: Tam róże dla poetów, ówdzie... ryż dla armii. I choć wspólne są człowiekowi wszystkie jego ogólno-ludzkie cechy, to jednak zmysł praktyczny w Anglii, a zaś skłonność do „idealizacji“ w Polsce, stały się dominującemi cechami i jakby attawistycznym grzechem tych narodów.

Dla równowagi przeto, *sine qua non*, mądra i zdrowa myśl społeczna zawsze mogłaby stosować w pewnej *uzasadnionej* mierze ową odtrutkę cech, zanikających w społeczeństwie ze szkodą dobra publicznego. Szaleństwem byłoby jednak żądać „definitywnego przepędzenia“ tych najbardziej wrodzonych danemu narodowi właściwości, które są największą siłą, a może i jedyną racją jego istnienia. Bo jakże tu wymagać od orła, aby żył w wodzie; albo od wołu, aby się wzbił w przestworza...

A takie właśnie żądania, w poprzek dawnych swych pojęć *), narzuca nam Nowaczyński we wszystkich swych najnowszych dziełach, w których tem głośniej wysławia wszelkie ruskie, pruskie i angielskie cnoty, im silniej potępia nasze „romantyczne“ wady.

Dla tej swej chęci zasadniczej radykalnego wyrwania nam z duszy wszelakich chwastów idealizmu, sztucznie stwarza on jakie takie oparcie logiczne w znamiennych rysach swej kroniki, niby złośliwej, a jednak miłosnej, gdy cyzeluje portrety Rusa-Dymitra i Prusa-Fryderyka. Już jednak w środowisku czysto polskiem swojej „Cyganerji“ sromotnie gubi się Nowaczyński w tej tendencji anti-idealnej... Bo nie tłomacząc gdzie, kiedy i o ile chciałby ją stosować, czyni z niej jedynie efekt teatralny, którym strzela jak „Filip z konopi“ w bardzo zmyślne i precyzyjne manekiny literackie, które pod kątem prawdy historycznej uważane, najzupełniejszem są kłamstwem.

Groteskowe tokowisko „cyganów“ Nowaczyńskiego — jakby na omastę swej jałowości—wykrzykuje coprawda od czasu do czasu „Niech żyje Po... ezja!“ Ale wiadomo, że ta „Po... ezja“ właśnie co innego tu znaczy. A gdy raz jeden, jedyny, istotnie dają się oni unieść poezji—poezji głębszych dźwięków szopenowskich—że po raz pierwszy pada im na twarz powaga myśli zasępionej, a więc i nadzieja otrząśnięcia się ze śpiączki, Nowaczyński, nie czekając na wynik tego ich duchowego przesilenia, wpada w jakiś obłędny trans szału i wmawia w nich, że ich muzyka osłabia i gubi. A wtedy nie pomny już nawet takiej prawdy oczywistej, że inaczej—niż etiudy Szopena—podziałałby na nich walc, lub kankan, inaczej mazur, lub krakowiak, a znowu inaczej marsz weselny, albo hymn bojowy, który jest także muzyką, wyklina on w czambuł wszystkie wiatraki grające i niby drugi Don Kichot walczy na pięście bombastycznych frazesów z upiorami poezji, których nikt nie widzi...

---

*) Czytaj studjum Nowaczyńskiego: „Odrodzenie Erynu“.

Bo, pytam, któż miałby je widzieć, gdy sam wódz „cyganerji“, Kamil, tak wymownie się skarży, że „ogół nasz“ wrogi jest „wszelkiej poezji życia“ — i gdy inny „cygan“, Gorgoniusz, także jeden z hersztów, zrozumiał już nawet taką zawiłość, że „zasadniczym attrybutem bytu człowieka jest także *but!*“

Nowaczyński zawsze stara się nawiązać jakąś nić analogii z teraźniejszością. Czy ale w „Cyganerji“ udało mu się przeprowadzić ten zamiar?

Że niechce on *poezji* „oddawać berła przewodzenia nad narodem“ jest rzeczą zrozumiałą, bo i ja wolałbym je oddać... wodzowi ziem polskich. Poproszę jednak, aby p. Nowaczyński zechciał zrozumieć i to, że naród w pełni sił żywotnych, któremu raptem usunięto z pod nóg materjalną podstawę bytu politycznego *musiał* uderzyć w skrzydła i musiał się *duchem* wzbić—aby nie upadł. I *musiał* zawisnąć w powietrzu...

Gdy zatem w pozycji tej ma on jednak budować jakąś „wieżę prac ludzkich“, to — zawieszony pomiędzy niebem a ziemią, oddalony od podstaw najbardziej realnej „realności“—musi on się wesprzeć na czemś, co, wzniesione do pewnych wyżyn powietrznych, może być jeno zrębem budowy *już* rozpoczętej... A cóż może mu być wtedy punktem oparcia trwalszym i pewniejszym, niż ta umocniona już przez tradycję i najbardziej przyrodzona danemu narodowi cecha jego charakteru, w której zawsze znaleść przecie można nietylko ujemne, ale i dobre, dodatnie wartosci. Więc z tego, co daje mu przeszłość, wybiera on wtedy na materjał do budowy chyba tylko najlepsze, a nie—jak zwykł to czynić Nowaczyński—negatywne i zawsze tylko najgorsze pierwiastki.

Autor „Cyganerji“ objaśnia nas i „eksplikuje“, że „nie na gnoju ma być Parnas, nie na grudzie, nie na ruinach! a na prac ludzkich wieży“.

Ale któż zrozumie o jakim gnoju tu mowa i o jakiej wieży? Bo przecie co innego „wieża prac ludzkich“, a co innego Parnas!

Parnas Parnasem będzie nawet i na gnoju, bo i tam zakwitnie on kwiatem białym... Zaś „wieża prac“ naszych jeśli „grudą“ jest „gnoju“, to z pewnością nie z nadmiaru poezji, ale raczej dla braku szkół, których nam stawiać nie wolno, a także i dla wielu, wielu innych „nie lzia“ i „verboten“.

A zresztą—dziś—u nas któż-to grzeszy jeszcze jakąś nadmierną „idealizacją życia“? Czy nawskroś pessymistyczni poeci nasi – czy może lojalni politycy nasi z sejmu, lub „Kół Polskich“? Czy może społeczeństwo urzędnicze w Galicji, lub handlowo-przemysłowe sfery w Królestwie — czy może dziecko walczące z Prusakiem o pacierz i o dach nad głową?

A „wieże prac“ naszych takiego znaczenia, jak kasy reiffeisenowskie w Poznańskiem, jak polityczne zdobycze Galicji—że już o innych „wieżach“ nie wolno mi nawet i wspomnieć—także miałyby być dziełem rozpoetyzowanego mazgajstwa polskiego?

Czy wreszcie tu, w Królestwie, jest jeszcze dla nas jaki kącik, choćby najmniejszy, niewyzyskany dotąd, a zdatny pod budowę „wieży“ jakichkolwiek „prac“ społecznych? Sądzę, że niema i że nigdy nie będzie takiego posterunku, który-by leżał odłogiem nie wyzyskany przez nas w miarę możliwości, zdobywanej w krwawym pocie—piędź po piędzi...

Pozostanie więc głosem wołającym na puszczy ten końcowy efekt teatralny ostatniej sztuki Nowaczyńskiego. I zawsze będzie to tylko kpina niewczesna... z niemocy lwa—w klatce, przestroga — spóźniona zarówno w dziedzinie dydaktyki narodowej, jak i społecznej.

. . . .

Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń jest jednak „Cyganerja“ Nowaczyńskiego dziełem wybitnie indywidualnego talentu—jest nad wyraz śmiałą enuncjacją silnych,

zdecydowanych barw—jest przeto zjawiskiem wartościowem w dziedzinie Sztuki, przez wielkie S pisanej, bo tam nie istnieje już dla artysty żaden nakaz jakichkolwiek praw.

. . . .

Rzecz, umiejętnie okrojona na scenie z wielu nieartystycznych naiwności i nadmiernego gadulstwa kalemburowego, bardzo wiele zyskała na jędrności wyrazu. I jeśli razi mnie w tej perspektywie dość dziwna pomyłka w obsadzie ról Lesława i Klarci, to przyznać muszę natomiast, że znakomitą większość innych ról doskonale odtworzyli — kolejną rangą zasługi — pp.: Frenkiel, Sulima, Roland, Brydziński, Pichor, Bogusławska, Mirska, Micińska, Rapacki, Janecka, Wojdałowicz, Horwath, Żółkowska, Lenczewski, Kawalski, a poczęści p. Śliwicki, który w pierwszym akcie za mało miał w sobie zapalnej skry cyganerskiej.

Nazbyt wstydliwą wstrzemięźliwością w objawach swego temperamentu grzeszyła również—panna Dębnicka.



JOACHIM LELEWEL.

Śpiewy historyczne Julijana Ursyna Niemcewicza, pod względem historyi uważane.

(Ciąg dalszy)

Ow handel z żyznej ziemi prowadzony: zaledwie trzeciej cząstki dawniejszego mógł dochodzić, bo w ciągu właśnie tych klęsk oddychały inne kraje wypoczynkiem, po większej części w walce ze stroną Rzymską wyszły zwycięskie, zagospodarowały się, rolnictwo i przemysł nagle podniosły *). W polszcze uszczuplone wsie i osady, usilnością czyli chciwością właścicieli, ile sił stało, niedawały zarastać obszernym niwom: natężona więc praca, zastąpiła ubytek rąk mogących ją podejmować, wieśniactwo ciężkiemi obarczyła powinnościami; w ciągu klęsk tylu wzmagał się skorym krokiem ucisk. Czynny tymczasem zakon Jezuicki, tryumfującym poglądając okiem na ćmy poległego Kozactwa, na ustęp z ziemi Polskiej tego narodu, na wywołanie Arjanów, zupełne poniżenie Dyssydentów: ledwie nie całkiem wychowanie pokoleń i oświecenie ogarnął: bo co nie weszło pod jego kierunek, to ich duchem przejęte już zostało. Mechaniczne wpajanie dobranych wiadomostek, groźbą plag ożywiane, tępiło rozwijanie się władz umysłowych. Odwracanie od pilniejszego rozważania rzeczy religijnych i z nimi połączonych moralnym od wszystkich nareszcie nauk, które sercem najbliżej kierują, zawięzywało działanie przekonania, podstawiało na miejsce niepewne zawierzenie. Przy guście powszechnie zepsutym, obok tylu klęsk i wysilenia się w prześladownictwo religijne wzmagała się prawdziwa ctemnota **).

Ukazały się iednak skutki z tych klęsk i umysłowej niewoli, zabobon rozkrzewiony, fanatyczne zawziętości, wielką część narodu upadlały i w niechęci utrzymywały. Stany niższe poczynały przejmować wyraz poniżenia. Szlachecki, składając

*) Uwaga ta ile handel zbożowy Polski odmienia się przez podniesienie się rolnictwa w państwach zachodnich trafnie jest uczyniona przez Krasiakiego. *(Pan Podstoli).*

**) W innym położeniu narodu, skutki zdziałań Jezuickich bez wątpienlaby nie były takie, lecz trafili na chylenie się rzeczypospolitej i dobijali ją — a z naturalnego biegu rzeczy, z zacieśnienia gruntownego w nauce religji ćwiczenia się, skoro czynność Jezuicka z ich upadkiem znikła, ukazała się łatwość do irreligji dotąd zaś trudno jest pokrzepić niezmiernie podupadłą po szkołach nauk religji i moralności, które są w poniżonym i biednym stanie, kiedy bardzo mało kto zdaje się czuć istotną ich potrzebę.

naród panujący niezdolny iść, (jak niegdyś) na równi w postępie oświecenia z resztą Europy, w swych uczuciach i działaniu, odrętwiały, zalegał ustronia w nieczynności, tam odurzających szukał rozrywek, polubione napoje, swarliwe pieniactwo jedynym było zatrudnieniem. Poklaskiwano jak się seymy rozsypywały, cieszono się że Polska nieładem stała. Znikło nawet na czas długi uczucie boleści z okropnego poniżenia przemożnej rzeczypospolitej. Była Polska nagrodą domowi Saskiemu za prawo do sukcessji Austrjackiej. Wpływ obcy królów na tron sadzał, obce wojska, ich elekcje popierały. Kiedy ruch polityczny w Europie stawał się jednością, w której stać bezczynnie było cięższym błędem, niż omylne w niej kroki, wtedy bezczynność Polski wczesno ją z dyplomacji wykassowała. Obszerna Polska stała się w polityce niejako głuchą stepą, Rossją od Turek, Austrji i Prus oddzielającą, karczmą zajezdną w której ośród stolicy, cudzoziemiec, mógł gwałty dopełniać. Z długiej między sobą chrześcijaństwa walki, nic sprawa Rzymska nie zyskała, a ludzkość na jej stronie cierpiącą została. Ze wszystkich jednak krajów, najdolegliwiej takiej koleji losów (z Hiszpanją, której niepodległość jej położenie ocaliło) doznała Polska. Nieczuła, bezsilna, rozbrojona, smutną sprawy tej padłszy ofiarą, u przeciwnej strony w pogardzie od wszystkich zapomniana, jeszcze sąsiadami zacierała, kiedy właśnie na opak, w miarę jej upadku, ci sąsiedzi, wzmogli się i potężnie urośli. Dwiema ścianami obejmowała Rossja, kozactwem od Polski odpadłym wzmocniona, Austrja innymi dwiema odrętwienie narodu paraliżowała. W cząstce tylko jednej ściany, groził dom Brandeburski, ale posiadał ośród Polski Prusy; Turek zniedołężniały, do morza wąski przystęp, zewsząd na napaść otwarta, nigdzie pleców, nigdzie ni krawędzi beśpiecznej o którąby się oprzyć można. Jakaż dłoń zdołałaby odwrócić przeznaczenie? sama tylko bezsilność i zapomnienie odwlekały go i zatrzymywały do czasu w którym naród przecudzać się zaczynał.— Od ustania długich klęsk do zupełnego upadku (od r. 1717. do 1795.) upływało lat 80, a większa ich część w pokoju trawiona, dawała czas wolnemu jeszcze narodowi do wypoczęcia i odzyskiwania ludności i sił straconych. Przez półora wieku, wkładane więzy na umysły, niezdołały wygładzić wrodzonej giętkości i łatwości do naśladowania. W ciągu najprzykrzejszych klęsk, jaśniały cnoty i szlachetność, łagodność i dzielność narodowa, łacno się do pięknych przepisów stosujące, i długo w prostocie swojej, wyłudzać ich nieumiejące. Nie schodziło więc serce z drogi prawej, zatrzymało w większej części cnotliwe postępowanie pomimo opacznych rozumowań i zawierzenia. W swym przeto odrętwieniu dochował szczęśliwie naród zalety swego charakteru, który go do życia zwracał. Dała się czuć potrzeba oświecenia, cudzoziemczyzna przez to ulubiona, Pijarzy prostowali wyobrażenia, kierowali sercem, Jezuici stali się ich współ zawodnikami, niemniej do rozkrzewienia nauk pomagali, wzięły się do tego pojedyncze osoby i król z rodaków na tron wyniesiony. Zdawało się, że się rozpoczyna odrodzenie narodu, odrodzenie szybkim postępujące krokiem, ale trudno było wzglądać dość pomyślnych okoliczności, coby wsparły zawodne nadzieje. Pośrodku usiłowań podźwignienia kraju, dopełnili sąsiedzi pierwszej próby. Pod też czasy rozpoczynała się na powierzchni ziemi rewolucja, która w siebie wikłała interesa Polski, a zatym jej upadek przyśpieszyła.

Trudno jest wymagać po opatrzności iżby zsyłała nadzwyczajnych ludzi, coby mogli chylący się naród dźwignąć i ocalić. Idą zwykle rzeczy ludzkie swym trybem. Wina bez wątpienia narodu rozwijała chylenie się jego, spełniła i ostateczny moment upadku. Lecz w postępie jego błędów i przewinień, snuły się odmiany zmieniające jego położenie; toczyły okoliczności, których wylewem porwany i spluskany, zwykłej losów ludzkich kolei ulegać musiał i ostatni czas jego upadku, tymże sposobem wypadł.—Lecz przerwijmy ten obraz więcej do serca ludzkiego niż setne wielkości i potęgi przemawiający, jak upadek każdego narodu, podobnie, mniej obchodzący blizkie czasy, więcej dalszą potomność, dla której stawa się znamienitą przestrogą i nauką; przerwijmy by wrócić do dzieła śpiewów historycznych, w którym dotąd wskazawszy jego porządek dotknąwszy jego zalet i piękności, roztrząsnąwszy główniejsze miejsca jego w których prawdy odstąpiło, lub przeciw którym mieliśmy co do zarzucenia albo do których uwagiśmy niejakie przydawali—zwróćmy się teraz do kilku lżejszych i pomniejszych we wspomnionym dziele okoliczności. (Dok. nast.).

JÓZEF KOTARBINSKI.

Jubileusz „Wesela“.

(Przemówienie wygłoszone w Teatrze Krakowskim przed setnem przedstawieniem dramatu).

Gdy w dniu 16. Marca 1901. roku zapadła kurtyna po ostatnim akcie pierwszego przedstawienia „Wesela“ nastała w Teatrze Krakowskim „chwila osobliwa“. Cała publiczność, oszołomiona niesłychanem napięciem teatralnego wrażenia, siedziała z tchem zapartym, jakby do miejsc przybita... Pomimo oklasków — Wyspiański nieukazał się na proscenium. Zniknął nagle z teatru niepostrzeżony... Powoli opróżniała się sala. Jeden z ostatnich wyszedł Stanisławski, gdy już światła zgaszono i—szeptał przyciszonym głosem: „To nadzwyczajne, szalone—ale gienjalne!

Niezapomnę nigdy tego wieczoru... Czuliśmy, że stała się na scenie rzecz niezwykła, wypadek w dziejach teatru polskiego wyjątkowy. Scena pokazała narodowi jakąś głębię jego duszy zbiorowej. Poeta rzucił w twarz społeczeństwu gorzkie urągowisko, sięgnął chwilami do trzew i zatargał, wydobył z życia współczesności mnóstwo bólów i zgrzytów, gryzł sercem i chłostał do krwi... Uciekł od oklasków, gdyż czuł ten człowiek zewnętrznie cichy, głęboki, mocny a dumny, że na razie niemoże być mowy o wymianie uczuć między nim a cząstką narodu, której podał utwór piołunowy. Niema przecież porozumienia między krwawiącą się raną a skalpelem chirurga... Bezwątpienia tkwiło w „Weselu“ jakieś bezwiedne okrucieństwo i bezwzględność z jaką rzeszy mówią bolesną prawdę wieszcze wznoszący głowę po nad tłum. P. Siedlecki w książce o Wyspiańskim słusznie zauważył, że nad „Weselem“ unoszą się „ekstatyczne ręce skargi“, giest natchnionego proroka, który karci nędze swego czasu przejęty poczuciem wielkości sprawy ojczystej.

Bezwątpienia zrodziło się „Wesele“ z głębin uczucia patryjotycznego, które po wielkich duchach dawnej polski, odziedziczyła poezja nasza zeszłego stulecia. Ale bezpośredni rodowód dramatu, jego twórcze łożysko jest na wskroś krakowskie... Po raz pierwszy, a zarazem ostatni, — poeta przeniósł na scenę rudymentarną formę jasełek, które w całej Polsce nazywają się krakowskiemi. Puścił w kołowy ruch ludzi i widma wydobyte z ich rozkołysanej fantazyi Bezpośrednim impulsem było dlań prawdziwe wesele literata z chłopką. Ujrzał na niem „dziwną mięszaninę białych kapot, kierezyj, gorsetów, wstążek z pawiemi piórami, pasów nabijanych kółkami, wśród których uwijały się czarne tużurki, fraki, migały jasne, powiewne sukienki“. Widział pląsanie, kołowy ruch, gody i gwar tego tłumu, w którym mięszały się różne sfery społeczne, widział to zbratanie stanów „przy pląsach, misie i kieliszku“ i to wszystko wydało się w jego oczach *szopką*, igrzyskiem pozorów demokratyzmu, mięszaniną parady i konwenansu z brutalną dziarskością i oto zjawiła się w jego wyobraźni gorzko-ucieszna, wesoło-smutna „tragikomedja współczesnego życia, w artystycznym skrócie, przeświecona drganiem mistycznego światła wydobytego z głębin duszy zbiorowej“.

W mojej monografii o życiu i pismach poety p. t. „Pogrobowiec romantyzmu“ wskazałem inne jeszcze krakowskie składniki i akordy przedwstępne, które poprzedziły świetną symfonję „Wesela“.. Malczewski w swej przedziwnie oryginalnej Melancholii zobrazował plastyczne zetknięcie się marzeń w hulacynacyi zbolałej

duszy polskiej—z blaskiem rzeczywistości... Ten piękny obraz jest starszą siostrą „Wesela“, w którem ruch kołowy życia mięsza się ze zmorą przeszłości — gwar godów z tęsknicą i smutkiem spoczywającym na dnie dusz polskich. Z obrazu Matejki wziął Wyspiański Stańczyka, tę dziwnie wyrazistą postać błazna-marzyciela, który zapatrzony w lazur nieba duma gorzko o doli narodu. Nareszcie ze swojego pastelu „Na plantach“ przeniósł do dramatu „chochoła“, krzak róży obwinięty słomą, który na rozkaz czarodzieja-poety opuścił swe stanowisko w ogrodzie i wkroczył do chaty. I mówił ludzkim głosem na początku drugiego aktu, że w tan na „Weselu“ pójdą nietylko ludzie, ale mary, że się zjawi wśród gości biesiadych to „co komu w duszy gra, co kto w swoich widział snach“. Chochoł to nowy, oryginalny znak rzeczywistości życia, symbol prozy wiechciowej, marnej i pustej, jak wymłocona słoma. To upostaciowanie pospolitości, ideowego bezwładu, poziomego kręcenia się w kółko koła spraw przyziemnych, jakie cechują życie bez ideałów po rozwianiu się wielkich marzeń. Pomysł jasełkowo-swoisty, harmonizujący z wiejskimi motywami tej przedziwnej wizyjonersko-ironicznej fantazyi...

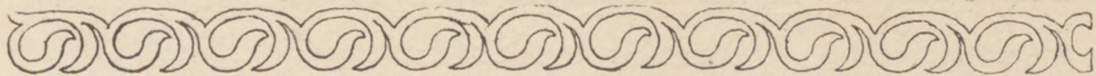
Wskazawszy na te nici łączące „Wesele“ z atmosferą artystyczną krakowską, dotknąłem tylko zewnętrznych szczegółów genezy poematu, który także i w swym duchowym rdzeniu jest na wskroś „krakowskim“. Już w spisie osób poeta naznaczył, że głównymi działaczami dramatu są figury fantastyczne. Właściwa akcja „Wesela‘, zaczyna się od chwili gdy wpółmroku, w mistycznej poświacie występują cienie i widma ludzi zmarłych. To jest dramat imaginacyjny, dramat szamotania się dusz z marą przeszłości, z dziedzictwem wspomnień, których brzemie przygniata pokolenie dzisiejsze. Stańczyk bolejący nad losami ojczyzny kroczy przed dziennikarzem, którego dusza wytrzebiona z idealnych pragnień, szarpie się w bolesnej rozterce i urąga „tęczowym złudzeniom“. Poecie, który wydobył z przeszłości postać bajkową rycerza, jako wcielenie żywej siły narodu, ukazuje się trupie widmo w zbroi czarnej, jako symbol przeszłości chwytającej arkanem ducha w niewolę... Panu młodemu który pojął chłopską dziewczynę i szukał we wszystkiem tematów do literatury, zjawia się widmo sprzedawczyka hetmana, ściganego przez piekielnych oprawców. Stary chłop widzi upiora-Szelę, wspomnienie Kainowych grzechów siermiężnej braci. Gospodarz we śnie, na jawie gwarzy z Wernyhorą, upiornym symbolem Polski archanielskiej. Dusze polskie, każda na swój sposób, szamocą się z dziedzictwem wielkich wspomnień. Drzemią one wśród krzątaniny codziennej, budzą się w chwili marzeń pół-sennych, gdy uskrzydlają się najgłębsze tęsknoty i pragnienia, gdy z podświadomych czeluści podnoszą się majaki „ciężkie, upiorne, męczące“.

„To tak dawność z nami walczy, my jesteśmy jak przeklęci, że nas widmomara nęci“.

Tłoczącą potęgę wspomnień czuł przez całe życie Wyspiański, który wychował się u stóp Wawelu i oczyma dziecka patrzał na zręby twierdzy pamiątek. Szamotał się z przemocą tradycyi bardzo długo, w „Wyzwoleniu“ klął narodową świątynię jako przybytek złudnej wielkości i chwały przebrzmiałej—a jednak niemógł się wyłamać z jej uroku. Dopiero w poemacie „Akropolis“ zdobył się na przezwyciężenie tego uroku, przez zmartwychwstanie w dziedzinie sztuki i fantazyi.

Ta walka stanowi ważny moment dramatu wewnętrznego poety, który rozłamywał się pomiędzy ukochaniem ruin, a żądzą odnowy i miał w swej duszy przewrotowe drgnienia. Jego gienijusz w „Wyzwoleniu“ kroczy z pochodnią nienawiści palącej przeciwko wszystkiemu co zmurszałe, trupie, piwniczną pleśnią grobów zionące—głosząc wielkie „żywota prawo“.

(Dok. nast.).





ZYGMUNT LUBERTOWICZ.

Kazimierz Tetmajer — Twórca cyklu „Na Skalnem Podhalu“, jako epik Tatr.

(Ciąg dalszy).

W tym-to bohaterze uosobił wielki epik Tatr—drapieżny świat zbójecki i umiłowanie dzikich gór, odtworzył starą duszę góralską, duszę rabusia drapieżną, a przecież mającą w sobie coś wielkiego, rycerskiego! Nie jest to bowiem dusza pospolitego, codziennego zbrodniarza, ale dusza prawdziwie orla, zdolna do rzeczy wielkich i szerokich, choć pęd nieraz gdzieindziej ją niesie.

Sablik Tetmajera jest kreacyą epiczną na wielką skalę. O Krzysiu, Mardule mówiliśmy już nieco. Godnym omówienia jest typ Gałajdy.

Fizycznie mocarz-olbrzym, duchowo dziecko niemal, o orlej—wolność nadewszystko miłującej naturze, kocha on nie tylko swą własną indywidualną wolność, ale i wolność wszystkiego, co go otacza i żyje koło niego. Więc z narażeniem własnego życia wypuszcza on niedźwiadka z oklepca, dlatego tylko, że mu „mieło pomyśleć, co se ten niedźwiadek po lesie hipce i jemu mieło“.

To też wspaniała, iście królewska to scena, w której Gałajda, ten „niedźwiedź“ skalny, dostaje się za grube kraty więzienia i tłucze o nie swój szalony łeb. Tęsknota za wolnością, umiłowanie gór ojczystych wypowiedziane tu są tak, jak może nigdzie w literaturze świata:

„Symonie! odezwał się z kąta Gałajda głosem cichym i drżącym do Krzysia.

Co fces?

To ja jus nie pude więcél z wołami w hale?

— Nié.

— Kie sie zieleni?

— Nié.

— Kie drózdz gwizda po lesie, a siwarnik po kosodrzewinak?

Nié.

Kie zołna puka po smreku?

Nie.

A wewiórka hipka po gałęziak?

Nié.

Kie hmury białe po niebie idom i owce po kosarak zbyrcom na zwonkak?

Nié.

Kie juhasi na piscałkak grajom po turniak, a pasterki śpiewajom za krowami?

Nié.

Watre kłaść?

Nié.

Nie pude więcel na trawie pomiendzy lelujami źółtemi na brzuhu lezeć i jsćaw zuć?

Nié.

Ani borówek i bruśnic przy wołak jeść?

Nié.



Ani nie bedem więcel ocami do nieba na grzbiecie lezał do słonka sie grzejący?

Nié.

Nie pudem jus ka bedem fciał, kie bedem fciał, jako bedem fciał?

Nié.

Bo mie cosi trzimie?

Haj.

Mnie?

Tobie."

Forma, treść, wzorowy język ludowy czynią ten djalog klejnotem naszej górskiej literatury, a z pewnością i całej literatury polskiej.

Z całej tej drapieżnej plejady wyżej pod względem moralnym stoją: Maryna z Hrubego—i wyżej od niej: Janosik.

Maryna z Hrubego pomimo swych win, to postać tragiczna, imponująca. I zaprawdę wspaniała to scena, gdy Maryna spotyka się z wojewodzicem Sieniawskim i drwiąc sobie z jego bogactw, mówi wręcz „jo nieworcem nic, a bo świat".

„Zamek mam z pięciu wieżami, chcesz w nim mieszkać?—rwał Sieniawski słowa ze zduszonej piersi.

Moje Tatry wyzse i więcel ik—wskazała ręką Tatry.

Uzłocę cię, ubiorę w perły, w dyamenty!

Ej ha!—przydrwiła Maryna. Kie jo do wody, do potoku wlazem, to po mnie perłów, dyamentów dość!"

„A przecież zalubiła go sama przez się!..."

Prześliczna jest też rozmowa Maryny z biskupem w opowieści o Janosiku Nędzy Litmanowskim:

„Modlitwa sie mi widzi tak, jak głód. Kie sie mi fce hleba — jem, a kie mi sie fce Boga, modlem sie. Ino dusa nie telo nie nazarta, jako ciało; temu trza i trzi i śtyry razy do dnia dać pojeść.

A duszy rano i wieczór—Boga.

Cy Panbóg nie jest tak, jak dysc? Kie leje to leje, a kie nié, to nié? Przydzie ku dusy, to je haw, to sie módl, bo Go cujes blizko sobie.

Modlitwy sie mi tak widzom, jako kwiaty pachniące; nie noś ig za pazuhom, bo usknom, bo wte woniajom, kie z ogródka pachnom".

Opromienia tę „ślebodną", wolną, królewską dziewę, rezygnacya i miłość nieszczęsna i stąd wieje od niej niepokonalny czar świeżych, prostych uczuć, heroizm i piękno duszy. I choć ciało oddawała nieraz bez pierścienia ślubnego, dusza jej jest piękną! Bo piękno to opłaciła ona zaparciem się swego nad miarę wybujałego uczucia i śmiercią swoją bohaterską dla tej miłości nieszczęsnej. A wzgardzić sobą, poniewierać się, choćby Sieniawskiemu, nie dozwoliła...

Ponad całym tym światem „rysich i żbiczych" natur góruje moralnie piękna i wzniosła postać Janosika.

Jest on niejako dopełnieniem drapieżnej postaci „Sablika", przedstawiając typ duszy góralskiej, która silniej rwała się ku wyżynom.

Historyczny Janosik był-to młody zbójnik słowacki, który, że bogatym brał, a biednym dawał, zginął zato na szubienicy w r. 1713.

Z biegiem lat postać ta otoczona świetną aureolą legend ludowych, jako rycerz-mściciel krzywd chłopskich, stała się już dziś bohaterem narodowym słowackim...

Trzeci wreszcie Janosik, to zbój w podaniach i pieśniach naszego ludu, postać najbardziej drapieżna, ale bez wyższego podkładu ideowego.

Z tych podań odtworzył Tetmajer dwie postaci, jedną rysią, dziką — Sablika, drugą—Janosika, którego oparł o zrąb legend słowackich. Janosik bowiem Tetmajera jest istotnie aniołem-mścicielem krzywd chłopskich. Jest w nim ten sam cichy, romantyczny idealizm, który płynie z legend i podań słowackich i który naszego zbója-rabusia zbliża do takich postaci, jak Götz von Börlichingen, lub Karol ze Zbójców Schillera.

Janosik nie jest zwykłym zbójem-rabusiem, jak Sablik, Marduła i inni jego towarzysze.

Nie byle kiedy on ruszał!

Ruszył raz pierwszy, gdy krzywdy pańskiej było za dużo i mścić ją postanowił. Ruszył raz wtóry ku pomocy królowi, nie jako poddany władcy, nie jako syn ojczyźnie-Polsce, ale jak równy równemu, jako „gazda gaździe". A trzeci raz ruszył, gdy głód i nędza, złe zimy i powodzie dogryzły chłopom do szpiku i wtedy w nocach bezsennych marzył on zdobyć Liptów dla polskich górali, powieść ich na Węgry, „na hleb, na mięso, na wino, na złoto". Marzył dalsze wyprawy „już nie za Tatry, ale za Nitrę, za Niżnie Tatry, za Fatrę, Matrę, Hegyalię, na Morawy, na Śląsk, do Austryi, na równie węgierskie pod Komorno i Budę". Miał to być jeden z tych zdobywców, których nie brakło w polskim narodzie, snul plany śmiałe, ale nie spełniły się jego marzenia. Zabawił się przy ulubionej, a tymczasem rozbiegł się lud i wyginął! I wtedy następuje dobrowolna ekspiacya jego win, przez śmierć ogniową! Chciał prowadzić wojnę w obronie słabszych „z panami, z biskupe, z cysarzem", nie udało mu się, więc ginie śmiercią honorną... Bo u niego było „jedno słowo, jako pierun. Kie grzmi, to grzmi".

. . . .

Oto galerja orlich i sępich natur z tetmajerowskiego cyklu „Na Skalnem Podhalu", galerja natur pierwotnych, przepastnych, jak głębiny morza, nieodgadłych, jak tajemnice Krywania, przebujnych, jak wiatr halny... A nie są one czczą fantazyą poety. Znał wielki ich twórca duszę górala od dziecka, odczuł w niej obok drapieżności i prostoty, nieraz i wysokie popędy i uczucia szlachetne i stąd ten realizm, który się w nich przebija, dając pieśni zbójeckiej Podhala takich właśnie bohaterów, śmiało pozwala nam stwierdzić, że istotnie jest Tetmajer epikiem Tatr — pierwszym, a może i ostatnim już i nieprześcignionym. (C. d. n.).



JÓZEF KANTOR

Pieśń ludowa Podhala.

(Z powodu jubileuszu Kazimierza Tetmajera).

(Ciąg dalszy).

I nie przeszkadza to zakochanym, tak bardzo „zagadać się z sobą", — że nieraz on o owcach, a ona o krowach swoich zapomni, a wtedy:

„Idom se owiecki koło polanecki
Juhasa nie widno ani owcarecki"

więc:

„Becały owiecki, cos ni miały beceć
Kie mi było pilniej ku dziywcinie lecieć."

W okresie takich zalotów—o nieszczęście łatwo—pasterka traci nieraz „wianecek“, a szukając go wszędzie, naprożno prosi wtedy juhasów:

„Juhasi, juhasi dyć sie Boga bójcie,
Straciłak wianecek, przecie mi go wróćcie“

i żałuje potem, że

„Siostry moje, siostry, sićkie sie wydały
Jino ja ostała, cok krowy pasała.“

Ale nie tylko „frajerkę“ sławi juhas w swojej pieśni, nie tylko owieczek „kyrdel“ duży, ale i psa swego wspomni, boć on jego towarzyszem, a nawet i wyręczycielem w nawracaniu owiec, gdy miłosna juhasa ogarnie tęsknota:

„Piesku mój, piesku mój, piesku mój kudłaty
Owce napasiemy pudziemy na swaty
Piesku mój, piesku mój pojedz mąceliny
Bo cie poślem hnetki z listem do dziewcyny.“

Ale największą dlań wartość przedstawia życie pasterskie, wśród zielonych ubocz, przechylin, buków i jodeł. Wtedy może żyć swobodnie, wprawiać się w życie zbójeckie, by kiedyś z lubością przypomnieć sobie:

„Jescek nie zbójował, dopierok próbował
Z bucka na jedlicke w lesie przeskakował“

A gdy już jest „towarzyszem“ zbójeckim—śpiewa swobodny i dumny:

„Kiedy ja se skocem z bucoka na pniaka
Nie z jednego pana urobiem zebraka!“

bo wszakże nieraz -- już jako juhas — wracał z paszy pokrwawiony, gdzie widno z liptakami się bił, skoro:

„Idom se owiecki, idom i barany
A za nimi owcarz idzie porubany.“

Przeczuwa on jednak, że jego życie juhaskie, wśród hal i skał nie skończy się prędko, bo zbójnikiem zostanie—a kiedyś w więzieniu--wspominając swoje lata owczarskie, tak sobie zaśpiewa:

„Zeby nie te owce, nie carne barany,
Nie zbercałyby mi na nogach gajdany“

a kiedy zawiśnie na bucku:

„Owiecki wy moje pilnujcie kosarza
Bo wam zawiesili na bucku owcarza.“

Boć on sam wie najlepiej, że taki koniec go czeka:

„Te moje owiecki samiućkie bielicki
Pono se zarobiem przy nik siubienicki“

A wiedzą o tem i pasterki, żałując zbójnickiej „krasy“

„Jak ich bedom wiysać za te carne włosy.“

Mimo wszystko wesoło juhasowi w lesie, przy paszeniu owiec—bo śpiewa:

„Kaz mi bedzie lepiej na calućkim świecie?“

Tak żyli juhasi, kochali i śpiewali dawniej, a śpiew ich miał tę wartość, że prawdę życia ich odtwarzał i ich duszy. Dziś na „halak“ juhasa starszego nieznajdziesz—zabrała go Ameryka — a młody juhas, dawniej homielnikiem t. j. pomocnikiem zwany, co rok to mniejszy ma „kyrdołek“ owiec. Więc jak ci dzisiejsi groteskowi „taternicy“ piękną zieleń upłazów i hal umieli już zmienić na restauracye marnego gatunku, szpecąc je czerepami jaj i tłuczonych butelek, tak i juhas dzisiejszy z górnych hal uczynił sobie targowisko, gdzie nietylko „kocie łapki“, ale i „kamień fiołkowy“ umie on już dziś sprzedać naiwnemu inteligentnikowi...

Bo zmieniły się czasy, zmienili się ludzie—zmieniły się warunki bytu.

. . . .

Pieśń zbójecka to niby rycerska pieśń dawnych czasów Podhala, jego życia, uczuć jego i ideałów późniejszych pokoleń. I chociaż mówi ta pieśń o czasach swobody bezwzględnej Podhalan, dziś jednak ma ona już znaczenie tylko archeologiczne. Dziś zamierają już piosnki zbójeckie. Na weselu coraz bardziej słyszeć je można—zastąpiła je miłosna pieśń, lub amerykańska, prawiąca o tem, jak to

„Dobrze w Ameryce, kiedy jest robota!
Weźmies se pinioski, jak przydzie sobota.“

Czasem tylko zanuci jeszcze pieśń o zbójnikach stary gazda pamiętający czasy Jasia Nowobielskiego, Mateji Józka, Kubika, Matury Jaśka — czy wreszcie raubszyc wracający z rozebraną flintą i ubitą kozicą z pod Krywania, albo na pokaz zaśpiewa ją panom podpity parobczak, czy fiakier-chłop na Podhalu. A przecież niegdyś były pieśni zbójeckie arką przymierza między dawnymi a młodszymi laty, sławiły męstwo dorodnych, śmiałych igrających z życiem własnem t. zw „dobrych chłopców", czyli zbójników. A był ten zbójnik ideałem każdego śmielszego Podhalańca.

(C. d. n.)



PRZEDRUKI LUŹNYCH ZDAŃ.

BEZ KOMENTARZY.

W czteroaktowej sztuce p. t. „*Cyganerya Warszawska*" — z nakazu **Adolfa Nowaczyńskiego**, jako jej autora — mówią:

KAMIL: „Twoje rączki wężowe to okowy wiążące" (*Str. 7.*) „ja do laurów teraz tęsknię, nie do Laury!" (*Str. 8.*) — „Na przypuszczenie, że tu miałbym życia wyczerpnąć, cierpnę..." (*Str. 84.*).

KLEPACKI: „Prezes to już, ale krezes to jeszcze nie..." (*Str. 14.*) — „Kto mi teraz weźmie taki szalon po szaleńcach" (*Str. 15.*)—„Przepraszam... Z przeproszeniem przepraszam." (*Str. 21.*)—„No już tam z wielmożnych panów łyka drzeć chyba trudno... A i w tem rzecz, że myszy-by tu nie łyknęły niczego przy panach..."—„Piękny wierszyk.. bardzo... ino w samej rzeczy od rzeczy." (*Str. 177.*)—„ja w samej rzeczy znam się na rzeczy..." (*Str. 183*).

RÓŻA: „Ależ to bardzo ładny nieład!" (*Str. 22.*)—„Mówimy o lekkomyślnych motylach i o złej motylicy" (*Str. 92.*) – „Niech idzie dąb do dębu..." (*Str. 100*).

PANNA PULCHERJA: „Już nic a nic gospodarstwem, kłopotarstwem, a tylko czyta" (*Str. 32*).

KLARCIA: „Jeżelim ja Hebe, to tyś Hebes!" (*Str. 51.*) — „To się już całkiem sprzykrzy z tym heglem, megłem..." (*Str. 173*).

ANDZIA: „Jeżeli jam gęś, toś ty gęślarz" (*Str. 52.*)—„A da pan dandzio Andzi ten breloczek..." (*Str. 58.*)—„Masz tu pączku poncz pocieszający.." — „I lepiejby dandzio raz się Andzi przypatrzył bliżej..." — „mógłby pan dandzio poznać Andzię głębiej..." (*Str. 120.*) – „Ech ciągle ten pomiot... pomiot... pomiot.. Już mi się wymiotować chce" (*Str. 122.*)—„Ty nomado! monado! pomado!"—„Eweryst powiedział o tobie, żeś glista... he? glista!..." (*Str. 125*).

ZENON: „indywiduom przyzwyczajonym do kantyczek, wykładam Kanta, urodzonych do terminatorstwa — ćwiczę w terminologii... a sforę niesforną wogóle uczę całą sferę ducha i mysli ogarniać" (*Str. 52.*) — „I Andzia żebro moje żebrze mnie też wciąż o coś..." (*Str. 113.*)—„Tabaka w rogu!... Oj ty ty... Ty tabako ale wroga mego!" (*Str. 124.*) — „Przeczytaj co o szatańskiej rozumu pysze pisze..." (*Str. 133.*) – „Modne cacane cacka dla dzieci i tyle!" (*Str. 134.*)—„O jakichś tam murzynach w puszczy!... puszczą!" (*Str. 165.*) — „Piernik więcej czci wzbudza jak Kopernik..." (*Str. 186.*) — „Mając dziś Lachów za Fellachów" (*Str. 200*).

GORGONIUSZ: „Kiedy twój języczek nauczy się rodzimego języka" (*Str. 53.*)—„To są, uważa pan, nasze sekundydonny... a to jest nasza primadonna.. a Ka-

mila belladonna..." (*Str. 59*)—„Tylko ten jeden jedynak jednego jednak rymu nigdy nie uklecił!" (*Str. 60.*) –„Pozytywką jest pozytywizmu, a realistą bez realności!" (*Str. 61.*)—„Ody to wody w głowie dowody! A nawet odęty od ód Ośliński klassyk z klassy najklassyczniejszej było to bydlę" (*Str. 72.*) — „Dlategom postanowił wyjść raz z pod wozu i wleźć na wóz! z wozu zaś wleźć w powóz..." (*Str. 74.*) –„Czyliż nie miałem dość respektu dla tej respektownej panny?" — „A jechałże cię sęk sękata sekutnico..." (*Str. 76.*) „daj na kredę rumu byśmy rumieńców nieco nabrali.." (*Str. 110.*) — „Jest już oso osią" (*Str. 114.*) — „Parą koni fornalskich dalej zajedzie niż twoją parą z wody." (*Str. 134.*)=„Pij... pij ziółka ziółko..."—„Szteinbok bokami robi." (*Str. 164.*)— „zasadniczym attrybutem bytu człowieka jest także but." (*Str. 171.*) –„Ty nie byłeś w możności dać jej bytowi nawet zasadniczych attrybucików.. prunelowych.. Zamiast wziąć ją do tancbudy na walce, o co walczyła pół roku, ty walcowałeś ją" (*Str. 172.*)—„Jego admiracyą napawa ten Watt co watę wynalazł!" (*Str. 196.*)—„To my wszyscy alchemicy mamy od urodzenia, od mamy..."— „Ale ja w tej mensardzie czułem się jak Mansardanapal!..." (*Str. 204.*)— „Wszystkie utopie moje utopię." — pobierzemy się i popierzemy się z czasem.."—„Veni Spiritus! o dużo spiritusu!... Żem Polak więc rzempolić sobie będę " (*Str. 210*).

EWARYST: „Na kontynencie świata na cosi się zanosi... Feretrony i trony się chwieją..." (*Str. 55*).

LESŁAW: „Twoja jaźń musi się nam objawić jaśniej..." (*Str. 56.*)—„mój półpanku z Pułtuska" (*Str, 57.*) — „Ryszard rymem ryknął" (*Str. 61.*) — „Herbata, to trunek herbowych" (*Str 95.*) — „na lwa najwalniejszy wabik, to... nalewki." (*.Str 96.*)—„Jak Miriamka u Tanty Salome się nie wstawi za nami, to o naszem wstawieniu się ani mowy..." (*Str. 107.*) — „czy ma kto gronie w tym gronie?" (*Str. 108.*)—„Ale kiedyż ten półgłówek z pod Pułtuska raz będzie?..." (*Str. 109.*) — „Chodźżeż raz z pod tych schodów ty z pod Pułtuska..." (*Str. 120.*) — „Pozwól sobie wręczyć pognębiony puchaczu puhar punczu..." (*Str. 126.*) — „Gołem okiem byle rozmarzonem dojrzymy rychło gołą Venus" (*Str. 135.*) — „ja z Warszawy nie mam ruszyć nogą przez lat ośmdziesiąt wzorem Kanta... I tu może zostać kantorowiczem?" — „(*znów za żołądek się złapał*). Żołądź... Żołądź..." (*Str. 162.*) — „Wyplata twój Platon nudny" (*Str. 165.*)— „Twoje zaciekłe dociekania ciekły tak nudno, że wreszcie uciekła od ciebie." (*Str 172.*) — „Dla tych co stoją na oddalonych pikietach ci, co tylko w pikietę grać umieją... (*Str. 186*).

HARAPKIEWICZ: „Chamy się pańskich kaprysów, grymasów, frykasów paskudnych uczą..." (*Str. 66*).

PUŁKOWNIK: „Variatio delectat... Wiadomo ci, że ja przekładam waryatów i fiksatów nad rachmistrzów i metternichów" (*Str. 67.*)—„byle mi tu żadnych płodo-zmianów nie wyprowadzał! Płoty-zmieniać to mu pozwalam.." (*Str. 94*).

PANI LAURA: „Niech sztuka ogółowa poda rękę sztuce wezwanych i niech zadanuje sztuczna choćby zgoda..." *Str. 99.*) — „za rzecz poczytuję zbyteczną wieść dyalogi z dryadami z nad Wisły!" (*Str 158*).

TANTE SALOME: „to kredytowanie tag auf tag to szlag zoll treffen!..." (*Str. 110.*)—„Wieszcz?... host di gesehn wieszcz... Pan jest świerszcz ludowy." (*Str. 111*).

RYSZARD: „wy cacanymi cackami dla dzieci!" (*Str. 135.*)—„mnie już znudziły te twoje zwierzenia... zwierzęce..." (*Str. 179*).

MIRJAMKA: „Zjedz ty licha z twem głaskaniem magnetycznem.. Pilnuj się, bym ja ciebie nie ugłaskała..." (*Str. 137.*) — „W tych kapusta, kapuściana głowo" (*Str. 142.*)—„twoją solenną postawę miej ty dla salonów" (*Str. 158*).

KUBUŚ: „masz pan, a tu mszał chyba... czy coś..." (*Str. 204.*) — „Powiedzieli, że on to co pisał... to sam opisał, a nie przepisał..." (*Str. 207.*) — „Schowaj se dla siebie trele drele o chatce angielskiej... Cała ta angielska choroba Garbackiego to gadanie..." (*Str. 208*).

WZMIANKI BIBLIOGRAFICZNE.

× Otrzymaliśmy następujące książki:

Henryk Sienkiewicz.—„*W pustyni i w puszczy*“ — Drugi tysiąc. — Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 395.

Stefan Żeromski.—„*Aryman mści się*“ — „*Godzina*“—Wydanie drugie.—Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 94.

Józef Weyssenhoff —„*Soból i panna*“ — Cykl myśliwski. — Pierwszy tysiąc.—Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 379.—Cena: 2 rb. 20 kop.

Adolf Nowaczyński.—„*Cyganerya warszawska*“—Sztuka w czterech aktach.—Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 210.

Erazm Majewski. — „*Nauka o cywilizacyi*“ — I. Prolegomena do socyologii i antropozofii.—Wydanie drugie, przejrzane przez autora.—Warszawa 1912.—Nakładem księgarni E. Wende i S-ka, Krakowskie Przedmieście 9.—Stron 279.

Stanisław Kutrzeba.—„*Historya ustroju Polski—w zarysie*“ — „*Część pierwsza: Korona*“.—Wydanie trzecie. — Ósmy tysiąc.—Lwów 1912. — Nakładem „Księgarni Polskiej“ B. Połonieckiego.—Warszawa: E. Wende i S-ka.—Stron 288.

Mieczysław Srokowski.—„*Epigoni*“—Powieść—Wydanie nowe—Warszawa —Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S-ka.—Stron 208. Cena: 1 rb.20 kop

Marceli Sachs —„*W pewnym domu*“—Powieść.—Wydanie drugie.—„Księgarnia Powszechna“ w Warszawie.—Stron 189.

Witold Szyszło. „*Małe Antylle i Jamajka*“ — Z portretem autora.—Warszawa 1911.—Nakładem księgarni St. Sadowskiego.- „Nowości Literackie“ Tom 51. Stron 252.

Maciej Wierzbiński. — „*Pod mysią wieżą*“ - Powieść współczesna.—Warszawa 1912.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G Gebethner i S-ka. — Stron 373 - Cena: 1 rb. 80 kop.

Emma Jeleńska.—„*Jubileusz*“—Nowele. - Warszawa 1911.—Nakład Gebethnera i Wolffa.—Kraków: G. Gebethner i S ka.—Stron 259—Cena: 1 rb. 20 kop.

Dr. Aleksander Hausman.—„*Żywioł żydowski w Palestynie*“ — Spostrzeżenia z podróży.—Kraków: 1911.—G. Gebethner i S-ka.—Stron 61.

Jerzy Orwicz.—„*Nad Arnem*“—Obraz życia Juljusza Słowackiego w 3 aktach.—Warszawa 1911 —Gebethner i Wolff—Stron 99.

Stanisław Cieszkowski. — „*Przerwana pieśń*“—Nowele i opowiadania.—Warszawa 1911.—Księgarnia: M. Borkowski —Stron 126.

Kazimierz Sędziuk. — „*Niepotrzebny*“ — (*Wigilia—Namowa—Wesele*).—Warszawa 1911.—Nakładem księgarni M. Borkowskiego, ul. Marszałkowska № 97.—Stron 103.

Eugeniusz Polender. — „*Koleżeńska miłostka*“ — Scenki z życia młodzieży.—(„Powiędły kwiaty“—„Koleżeńska miłostka“).—Warszawa 1912. — Księgarnia Kazimierza Idzikowskiego, Nowy-Świat № 21.—Stron 91.

Bolesław Wędrychowski.—„*Spadkobiercy*“ — Komedya w 3 aktach. —Kraków 1911.—Nakładem autora.—Stron 34.

Jerzy Machon.—„*Aelia Capitolina*“ — Kronika poetycka w 5-ciu obrazach.—Warszawa 1912.- Gebethner i Wolff.—Stron 69.

Teofil Gautier.—„*Kapitan Fracasse*“—Powieść, tłómaczona przez Władysława Bogusławskiego—Trzy tomy z 18 ilustracyami.—Miesięcznika „Ciekawe Powieści“ №y 19. 20. i 21. — Warszawa 1911. — Nakład Gebethnera i Wolffa. — Kraków: G Gebethner i S-ka.—Stron 191+190+190.

Ernest Łuniński.—„*Napoleon, jego życie i czyny w obrazach*“—(Legiony i Księstwo Warszawskie).—Ilustracje podług obrazów, portretów, rzeźb, rycin, pamiątek i t. p.—Zeszyty: IV. V. VI. i VII. VIII. i IX. — Warszawa. — Nakład i druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.—Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka.—Stron 40+40+40+40+40—Cena pojedyńczego zeszytu: 1 rb.



W NAWIASIE.

TRENY.

Niby błogosławiącą dłoń ojcową...

...Niby błogosławiącą dłoń ojcową
W snach pogrążone rycernych pacholę,
Powiew od mogił uczułem na czole,
Szepczący do mnie łzawych runów
[mową...

To wszystko, co już od lat niepamięci
Podle zabyte jest, wdeptane w ziemię,
Co pod płytami grobowemi drzemie.
Co łzą pokutną w oku mi się kręci,

W tę noc zaklętą jęło grać mi w duszy,
Jak rozjęczona lira Wernyhory,
Szumieć, jak Wisła, gdy lodu zatory
Wiosenne ciepło z ich posad poruszy...

Więc, łzami skruchy ciepłemi omyty,
Oczyma, polską tęsknotą mgławemi,
Patrzyłem cicho, jak smutek mej ziemi
Jakieś anielskie rozsrebrzały świty...

Wacław Wolski.

Hymn do życia.

O, pochwalone bądź mi moje życie
nieokiełznane, jak dziki huragan,
straszne, jak Jahwah w gniewie nie-
przebłagan!
O, pochwalone bądź w myśli zenicie,
w walce Marduka z tajemniczą Tjamat,
w zwycięstwie szczęścia nad grzechem
[i cnotą,
w tryumfie światła nad mrokiem kazamat—
O, pochwalona bądź, twórcza tęsknoto!...

Tobie hymn śpiewa rozszalałe morze,
dla ciebie góry w przepaście się walą
i łoskot straszny idzie cichą dalą...
Tobie w pokłonie step bezkresny gorze,
konają ludzie w okropnej męczarni,
w szalonym lęku i niemym zachwycie,
ci nędzni ludzie tacy słabi... marni...
O, życie moje, dumne moje życie!...

Alfons Dzięciołowski.

Wydawca: Józef Krobicki, ul Marszałkowska 125. Redaktor odpowiedzialny: Piotr Ambroziewicz.

Druk Piotra Ambroziewicza, Warszawa, Jasna 8.